



OPOWIEŚCI TERAPEUTYCZNE

bartosz m. wrona

Bartosz M. Wrona

OPOWIEŚCI TERAPEUTYCZNE

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-61-7

Copyright © Bartosz M. Wrona

Projekt okładki: Karolina Lubaszko

Dzień pierwszy: NAJWAŻNIEJSZY

Dawno, dawno temu, za siedmioma górami, za siedmioma lasami, w bardzo, ale to bardzo odległej galaktyce Krasnalek Pacnalek, najprawdziwszy w świecie krasnoludek, otrzymał wyraźne polecenie, że ma najpierw wykapać, a następnie położyć do łóżek i poczytać coś na dobranoc dzieciakom.

– Twoja kolej – powiedziała babcia Pacnalkowa, jak się zapewne domyślacie, żona Krasnalka Pacnalka i żeby zupełnie pozbawić biednego skrzacika jakichkolwiek nadziei lub złudzeń, to jeszcze dodała – I musisz poradzić sobie sam, bo ja wychodzę z koleżankami na występ bobrzyh czipendejsów. Udanego wieczoru – cmoknęła przerażonego Pacnalka w policzek i już jej nie było.

Oczywiście, gdyby Krasnalek Pacnalek usłyszał tę wiadomość chwilę wcześniej to z całą pewnością zemdlałby z wrażenia (to znaczy z całą pewnością udałby, oczywiście, że mdleje, osunąłby się teatralnie na podłogę i nie otwierałby oczu tak długo jak tylko byłoby potrzeba). Tym razem jednak jego sprytna małżonka wykorzystała fakt, że siedział i profilaktycznie poklepała go kilkukrotnie po ramieniu, żeby nie pozwolić na taktyczne odrętwienie, po czym chwyciwszy swój wyjściowy kapelusz i kopertową torebkę, podreptała na wysokich szpilkach w stronę wyjściowych drzwi. Tak to właśnie wyglądało. Szybki komunikat, cmok w policzek, stukanie obcasów i zbaraniały krasnal został, jak to się mówi, siedzieć.

– Wykapać dzieci? – powtórzył bezwiednie słabiutkim głosem. – Położyć do łóżek? Samemu?!

I oczywiście, że zaraz przypomniała mu się stara jak świat anegdota, jak to pewien turysta przyjechał do Zakopanego i zapytał się bacy, czy może zostawić samochód na jego posesji.

– Pewnie panocku, zostawcie.

– Ale nie ma tu żadnych dzieci? Żeby mi go tu jakieś dzieci nie zarysowały, albo nie ochlapały błotem!

– A ni panocku, nie macie się co martwić o dzieci, bo dzieci to tu żadnych we wiosce ni ma.

Turysta zaparkował więc ostrożnie pod stodołą, zamknął auto starannie i poszedł na wycieczkę. Wieczorem wraca, a tu auto z poprzebijanymi oponami, wybite szyby, pourywane wycieraczki...

A w dodatku po masce i dachu skacze cała banda małych urwisów.

– Baco! – krzyczy turysta przerażony i wściekły – Jak to?! Przecież pan mówił, że tu żadnych dzieci nie ma?!!!

Na to baca, spokojnie pykając sobie z fajeczki, patrzy tak na turystę i mrużąc oczy mówi:

– Dzieci? To mają być dzieci?! To są POTWORY!!!

Tak oto zaczął się ten wieczór dla Krasnalka Pacnalka. Najpierw szok i niedowierzanie, a potem dokładnie to samo, co co wieczór robiła ostatnio jego żona: upominanie, przypominanie, gonienie. Bo a to Zuzia porysowała ścianę szminką babci Pacnalkowej, a to Marcinek złapał kota za ogon tak boleśnie, że biedne zwierzątko wybałuszyło gały jak wilk z bajki o Czerwonym Kapturku, a to któreś z nich coś stłukło w kuchni, a to któreś rozlało coś w przedpokoju, wrzask, hałas, piski – jednym słowem, zwyczajne, codzienne, dokazywanie małych zuchów.

– Do mycia! – wrzasnął wreszcie Krasnalek – Do kąpieli, czorty jedne. Myć się, sikać, zęby szczotkować! Słyszycie co mówię?!

Nagle, nie wiadomo skąd zjawiała się przed Pacnalkiem niewinnie uśmiechnięta, drobniutka Zuzia i słodziutkim, cichutkim, szczerze zdziwionym głosem zapytała:

– Dziadziusiu, ale czemu tak się drzesz jak nieboskie stworzenie?! Przecież my z Marcinem bardzo dobrze słyszymy, nie musimy mieć tak jak ty, aparatów w obu uszkach przecież.

– No to dlaczego nie słuchacie? Robicie zawsze tylko to co się wam podoba, a nie to co do was mówię.

– Bo trzeba powiedzieć „proszę” – z jakiegoś odległego pomieszczenia krzyknął Marcinek. – Magiczne „słowo”, dziadku. Babcia nam zawsze mówi, że one potrafią zdziałać cuda.

– Dobrze – westchnął zrezygnowany skrzat i starając się ukryć irytację i rozbawienie, spokojnie zakomunikował:

– Bardzo was proszę o zakończenie zabaw i udanie się do łazienki w celu umycia zębów. Dziękuję za uwagę i współpracę i jeszcze raz powtórzę, proszę.

– Kiedy się kogoś o coś prosi – przytomnie zauważyła Zuzanna – to należy się liczyć z tym, że ten ktoś może odmówić.

Krasnalek Pacnalek aż zaniemówił.

– Proszę?! – wykrzyknął retorycznie i tym razem rozkazał – Natychmiast do mycia!!!

– Zaraz – odkrzyknął z jeszcze większej odległości Marcin.

– Za chwilę – dopowiedziała Zuzanna i oniemiały krasnal pozostał w salonie sam, umęczony i umordowany, wyspany z sił witalnych i z niedowierzaniem kręcący siwą głową.

A jednak jakimś cudem, jakimś nadkrasnaludzkim wysiłkiem udało mu się w końcu przepłukać jakoś te dwa bachorki, zmusić je do wymycia zębów, powycierać, w piżamki przebrać i co już naprawdę graniczyło z cudem poukładać, poupychać w końcu do łóżeczek w sypialni w malutkim, jak na krasnaludkowy domek przystało, pokoiku na poddaszu.

– Spać, kochane urwipołcie. Dobrej nocy, dobranoc – zakomunikował z wyraźną ulgą Pacnalek i już, już usiłował wycofać się z ich sypialni, już miał ochotę na odpalenie wieczornego meczu w telewizji, na otwarcie piwa już mu się oczka świeciły, a tu nagle go głosik dobiega cieniutki, cichutki, dziewczęco ujmujący:

– Dziadziusiu, a opowiesz nam choć jedną bajeczkę na dobranoc?

– No i jak tu odmówić?! – pomyślał Krasnalek – No pewnie, że dziadzius opowie, opowie bajeczkę dzieciaczkom, tylko jaką?

– A byliście grzeczne? – zadał im durne pytanie, durne, idiotyczne, ponieważ przecież nie było nikogo w tej sypialence niewielkiej, kto nie znałby doskonale odpowiedzi, a już Krasnalek to znał ją doskonale naprawdę, o wiele lepiej niż te czorty, które pytał, ale i tak powtórzył jeszcze raz – A byliście grzeczne, no, słucham?

– Byliśmy – odkrzyknęły dwa czorty zgodnym chórem i zaraz zaczęły oczywiście skandować – Dzia–dziuś, ba–je–czka! Dzia–dziuś, ba–je–czka! Dzia–dziuś, ba–je–czka!

– Cicho! Co to ma być?! Tatuś wam nie powiedział, że macie słuchać dziadków?!

– Nie – skłamała Zuzia.

– Nie – powtórzył za nią młodszy braciszek.

– Tatuś powiedział, żeby dać dziadkom popić.

Na te słowa Pacnalek aż się złapał za boki:

– Naprawdę?!

– No, tatuś powiedział, że jak on był mały, to się nim nie zajmowałeś i teraz mamy ci dać popić. – wyjaśnił zdziwonemu dziadziusiowi Marcinek.

– Popić? – dopytał Pacnalek rozbawiony.

– Popalić – przypomniała sobie Zuzia i nie zrażona kontynuowała rezolutnie – Mamy ci dać popić i popalić. Dziadziusiu, ale opowiedz już bajeczkę, bo jestem bardzo śpiąca.

– No dobrze – westchnął Pacnalek – ale tylko jedną.

– Dwie – zaprotestował dla zasady Marcin.

– Ja poproszę trzy – przelicytowała go Zuzia – Powiedziałam „proszę”, to jest magiczne słowo.

– Dzieciaczki ja też was proszę przestańcie już mówić, zamknijcie oczka i posłuchajcie bajki o Kotku Huncwotku i Krasnalku Pacnalku.

– O wujku i o Tobie?

– Tak. O wujku i o mnie, jak byliśmy włamywaczami.

– Co?!!!

– Cichutko – macie tylko słuchać i nie zadawać pytań. I spać. Głównie macie spać. Cichutko. I słuchać.

– Dziadku, nie można spać i słuchać.

– Można, wy jesteście takie czorty, że wszystko potraficie. Słuchajcie mnie przez sen, a w każdym razie nie wolno wam się odzywać. Dawno, dawno temu, za siedmioma górami, za siedmioma lasami mieszkało sobie dwóch urwisów, którzy postanowili zostać włamywaczami. Jeden z nich to był Krasnalek Pacnalek. Bardzo dobre dziecko. Spokojniutki, miłutki, nie przeszkadzał nikomu. Jak mu mamusia powiedziała, że ma spać to spał, jak mu mówiła, że ma wstawać do szkoły to wstawał. A ten drugi, ten jego braciszek niby, ale z całą pewnością z innego ojca, to było wcielone zło. Pyskował, nie chodził do szkoły, papierosy palił. I oczywiście miał bardzo zły wpływ na młodszego braciszka, który jak już wspomniałem był bardzo dobry i nie miał żadnych wad.

– Dziadku? – przerwała mu Zuzia – Dziadku? Coś mi ta bajeczka już od początku zalatuje wielka ściemą.

– I mi też – od razu dołączył Marcin. – Ściema. Wielka ściema, dziadziusiu.

Pacnalek wykonał kilka głębszych, dłuższych, spokojniejszych oddechów. Dokładnie tak jak radził mu wielokrotnie jego psychoterapeuta, gdy był na odwyku i pomijając zaczepki bachorków kontynuował:

– No więc ten Huncwot wymyślił oczywiście pewnego dnia, że nie pójdą do szkoły tylko okradną najbogatszego w całym lesie lekarza, chirurga plastycznego pana doktora Raka Cwaniaka.

– Widzisz jaką furą on jeździ?! Wiesz ile on wziął od Baby Jagi za operację nosa?! To jest Cwaniak! Łasy na pieniądze jak Łasica na kiszzone ogórki! Trochę go oskubimy i będziemy ustawieni do końca życia.

– No ja nie wiem – Odpowiedział Krasnalek Pacnalek. – A jak nas złapią?!

– Nie złapią. Nie jesteśmy notowani na policji, więc w ogóle nie będą nas podejrzewać. A Rak Cwaniak jest oszustem i żeruje na ludzkim nieszczęściu, więc jak go okradniemy i rozdamy biednym, czyli nam, to nawet będzie dobry uczynek.

– No, ja tam nie wiem – wykręcał się Pacnalek, ale ponieważ jak już wam mówiłem był bardzo dobrze wychowany, to nie sprzeciwiał się starszym i w ogóle nie lubił się kłócić...

– On był właśnie źle wychowany – znowu wypaliła Zuzia.

– Bardzo źle – powtórzył Marcin – wujek Huncwotek był dobrze wychowany. Sprytny i mądry. Coś czuję, że już wiem kto tu będzie moim ulubionym bohaterem.

Znowu głębokie, pełne tłumionej irytacji westchnięcie umęczonego skrzata wypełniło dziecięcą pokoi.

– Posłuchajcie, co będzie dalej. Więc Kotek namówił Pacnalka na włamanie się do willi doktora Cwaniaka, ale co się okazało? Otóż okazało się, że ktoś już wpadł pewnie na podobny pomysł i okradł Raka wcześniej niż oni.

– Inni złodzieje?

– Tak, najprawdopodobniej inni złodzieje. Tak przynajmniej pomyślał Krasnalek Pacnalek, bo Kotek Huncwotek miał inną koncepcję. Otóż grzebiąc w papierach doktora Raka znalazł nie tylko przelewy do Urzędu Skarbowego, ale i dokumenty rozwodowe. Pamiętam, że Pacnalek powiedział wtedy do Huncwotka: to on był żonaty dwa razy?! A Huncwotek też był bardzo zaskoczony i odparł, że tak i że niby mądry pan doktor, niby taki cwaniak, a najwidoczniej nie zrozumiał czegoś za pierwszym razem, ale że to teraz bez znaczenia i że nie bardzo mamy już co kraść, ale że skoro już tu jesteśmy, to nie wypada wychodzić z pustymi rękami i powinniśmy zabrać mimo wszystko coś co ma jakąkolwiek wartość i że jako rasowi złodzieje musimy jeszcze zniszczyć wszystko co tylko da się zniszczyć, żeby pozostawić po sobie jak najwięcej syfu.

– Dziadku, „syfu” to chyba nie jest ładne słowo – zauważyła przytomnie Zuzia.

– I dlaczego niby mielibyście wszystko niszczyć?! – Marcin był po prostu zdegustowany. – To nie jest bajka dla dzieci, ale dla jakiś idiotów.

– No to co? Gasimy światło i spaćku? – zaproponował naiwnie dziadek.

– Jakie spaćku! – Marcin sprawiał wrażenie nieźle wkurzonego. – Babcia zawsze opowiada nam fajne bajki.

– Mama też opowiada nam fajne bajki – poparła brata Zuzia.

– A tata? – z przekąsem zapytał Pacnalek.

– A tata nie, bo siedzi w więzieniu, pewnie dlatego, że opowiadał mu takie straszne bajki jak nam! – odparowała rezolutna wnuczka i aż usiadła na łóżeczku zakładając ręce na piersi. – Opowiedz nam ładna bajkę, bo Marcin też pójdzie do więzienia.

– A dlaczego niby tylko ja?! Ty też możesz pójść siedzieć?! Babcia siedziała.

„No ładny gnój” – pomyślał refleksyjnie Krasnalek Pacnalek i zrobiło mu się bardzo smutno.

– To prawda, dzieciaczki kochane. Pewne rzeczy mi się w życiu nie udały, ale wy jesteście najwspanialszymi skarbami jakie mam i musimy zrobić wszystko, żebyście miały wspaniałe życie. Właśnie dlatego opowiem wam moją bajeczkę do końca, ponieważ to jest jedyna bajka, która znam. Kłaść się i słuchać! Wyobraźcie sobie, że już jesteście w więzieniu. Nigdzie nie możecie pójść. Nikt wam nie przyjdzie z pomocą. Musicie leżeć na swoich pryczach i słuchać tego co mówi klawisz.

– Klawisz? – oczywiście odezwał się Marcin – Klawisze nie mówią. One grają.

– Nie grają – zaprotestowała Zuzia. – One są po to, żeby je naciskać. Ale w bajkach mogą przecież mówić.

– Mówią – odpowiedział spokojnie dziadek Pacnalek. – Mówią co chcą i mówią co więźniowie mają robić, a ten kto ich nie słucha nie dostanie jutro naleśników na śniadanie tylko suchy chleb. Zrozumiano?

– Tak jest, panie klawiszu! – wesoło zasalutowała Zuzia.

– Tak jest! – powtórzył malutki Marcinek i szeroko ziewnął.

– Było tak – Krasnalek Pacnalek rozparł się w fotelu i kontynuował swoją opowieść. – Dwaj obwiesie weszli do mieszkania doktora Raka i świecąc sobie latarkami odkryli, że najpierw ZUS, potem Urząd Skarbowy, a na koniec jeszcze liczni adwokaci doktora i jeszcze liczniejsi adwokaci jego pierwszej i drugiej małżonki, no i oczywiście najpierw pierwsza, a potem druga żona, zabrały już niemal wszystko. W pustych pokojach walały się tylko puste butelki po drogich, jak na chirurga plastycznego przystało, butelkach po alkoholu. Gdzieś tam leżały puszki po piwie, gazety pornograficzne, brudne skarpetki i porzucone ubrania. Na oknach stały zasuszone kwiatki, naderwane zasłony dopełniały obrazu zniszczenia.

– Bierz, co tylko ma jakąś wartość i zwiewamy – zarządził Kotek Huncwotek, jak już powiedziano „mózg” tej operacji i znalazłszy jeszcze kilka nie osuszonych przez Raka Cwaniaka butelek żubrówki zaczął pospiesznie upychać je do wielkiej torby.

– A Pacnalek? A Pacnalek? – zapytacie na pewno, ponieważ bardzo jesteście ciekawe co takiego znalazł pan Krasnalek Pacnalek, wasz przekochany dziadziuś, w splądrowanej przez życiową zawieruchę modernistycznej willi tego pijanicy, a ja wam zaraz odpowiem – To znalazł Krasnalek Pacnalek! – powiedział Krasnalek Pacnalek z emfazą i na dowód swoich słów wyciągnął niespodziewanie z wewnętrznej kieszeni przybrudzonego, czerwonego surducika, całkiem sporych rozmiarów książeczkę i przetarłszy ją rękawem dumnie odczytał tytuł:

– Opowieści dziwnej treści – czyli „Opowieści terapeutyczne, nie dla dzieci, młodzieży lub dorosłych” Ottona Sowy–Sowińskiego.

– Dziwny tytuł – skomentowała Zuzia.

– A mi się podoba – ucieszył się Marcin. – Najważniejsze, że nie dla dzieci. Dziadziusi, czytaj proszę powolutku, żebyśmy wszystko zrozumiali.

– Już się robi, tylko nie możecie potem mówić babci, że wam czytałem takie straszne rzeczy.

– Będzie strasznie? – Zuzia aż wsunęła się głębiej pod kołdrę.

– Strasznie – zawyrokował dziadek. – Pan, który napisał tę książkę, nie miał litości dla czytelnika. Słuchajcie zatem uważnie i nie przerywajcie.

PREBAJECZKA

Dawno, dawno, temu za siedmioma lasami, za siedmioma górami i za siedmioma niekrzewowymi dolinami, w mieście co prawda nie wojewódzkim, ale jednak takim, po którym jeździ tramwaj, oglądałem przedstawienie teatralne, na które zaprosił mnie kolega jednego z aktorów. Wystawiana sztuka była lekką komedią, a przynajmniej taki był najprawdopodobniej zamiar jej twórców. To jednak co działo się na scenie w pierwszym akcie, bynajmniej nie komedią było, ale najprawdziwszym, najprawdziwszym, najprawdziwszym, antycznym wręcz, powiadam Wam, dramatem.

Aktorzy grali drętwo, nieprawdziwie jakoś, nieprzekonująco. Męczyli się ci aktorzy wszyscy strasznie, męczyli się i z tekstem, męczyli się i z ruchem, i dosłownie z wszystkim. Co gorsza ich gra niewprawna, ich starania na scenie przecież publicznie prezentowane, wywoływały i u mnie i u innych widzów, nielicznie zresztą na wielkiej widowni zgromadzonych, również poczucie cierpienia, psychofizycznego umordowania, umordowania. Makabra. makabra, powiadam Wam, i to makabra na żywo! Dla człowieka tak jak ja wrażliwego, męka to straszna była, widzieć tych ludzi realnych, nie piksele jakieś na filmie, nie ekran podświetlany, nie plamy świetlne z projektora na ekran rzucane, ale ludzi prawdziwych obserwować mi tam przyszło, ludzi na pewno sympatycznych przecież, miłych zapewne (w tym jeden to jeszcze znajomy znajomego, oj niedobrze), ale teraz na scenie krzyczących coś i biegających w jakimś zawodowym zatraceniu i przy tym wszystkim jeszcze starających się z całych sił swoich rozbawić i zabawić, rozrywki godziwej dostarczyć – uwierzcie mi, katastrofa, tragedia, dramat...

Z jakąż ja ulgą przyjąłem fakt, że wypuszczono nas wreszcie z tej puszkii Pandory na antrakt, z jakimż zadowoleniem!

A jednak w teatrze jak w życiu, wszystko się kiedyś kończy, a w dodatku to co dobre kończy się szybko bardzo, więc i antrakt się skończył, ta przerwa w męce dobiegła kresu i gong jakiś obwieścił, że pora wracać na miejsce kaźni. Gdyby nie kolega obok mnie na fotelu i kolega kolegi na scenie zdezerterowałbym pewnie, nie wytrzymał, nie wytrzymał, a tak... zrezygnowany i smutny powlokłem się na widownię by dooglądać tę rzeźnię do samiutkiego końca. I co? No właśnie – i stałem się oto świadkiem cudu!

Nie dopytałem już po fakcie, co się takiego w trakcie przerwy pomiędzy aktorami podziało, co w nich się zmieniło na skutek jakiejś autorefleksji lub może opieprzenia się wzajemnego lub może samoobśmiania, nie wiem i nie chcę tego wiedzieć, niech pozostanie to tajemnicą. W każdym razie ci sami ludzie, którzy jeszcze przed chwilą kładli scenę po scenie, dialog po dialogu, teraz nagle pokazali się jak jacyś arcymistrzowie teatralnej magii! Jak pełnokrwisci profesjonaliści, jak półbogowie! Jak w transie grali, jak podmienieni, jak nie ci sami! Publiczność zarykiwała się dosłownie ze śmiechu, brawo biła, piszczała, tupała, zęby wbijała w oparcia foteli! Jedna z pań tak się cieszyła, że aż się posikała podobno, jednemu panu brzuch pękł dosłownie, a przynajmniej spodnie... Poezja! Uczta! Wniebowstąpienie!

Dlaczego o tym piszę?

Bo to prebajka jest, wstęp do wstępu, przedpoczątek początku i jeśli w trakcie dalszej lektury nie odnajdziesz niczego dla siebie inspirującego, niczego śmiesznego, ciekawego, świeżego, wspaniałego nic nie odnajdziesz, to nie znaczy wcale, że w dalszej części nie zmieni się wszystko. Sprawdź. O to Cię proszę, Drogi Czytelniku, o wytrwanie do końca. Co więcej może kilka razy powinnaś, powinieneś zapoznać się z tymi bajkami, albowiem ponoć nie premierowe przedstawienie jest tym najlepszym, ale trzecie lub czwarte z kolei, tak mówią znawcy.

Może być jednak i tak, że nie spodoba Ci się nie tylko początek, ale także środek i koniec tej książki. W takim przypadku przeczytaj tylko tę jedną, poniższą anegdotkę i sam sobie odpowiedz dlaczego:

Do Mistrza podszedł jeden z uczniów i zapytał:

– Czy istnieje Bóg?

– Tak – powiedział Mistrz.

Uczeń ucieszył się, podziękował, pokłonił i odszedł. Przed Mistrzem usiadł kolejny mnich:

– Czy istnieje Bóg? – zapytał.

– Nie – odpowiedział z absolutnym przekonaniem Mistrz.

Uczeń ucieszył się, podziękował, pokłonił i odszedł. Przed Mistrzem usiadł następny uczeń i zapytał:

– Czy istnieje Bóg?

– Ani istnieje, ani nie istnieje – odpowiedział Mistrz.

I ten mnich ucieszył się, podziękował, pokłonił się i odszedł.

Siedzący obok Mistrza Imperator nie wytrzymał i stwierdził:

– Co ty opowiadasz?! Każdemu z nich mówisz co innego, pomimo, że pytanie jest takie samo!

– Pytanie jest takie samo – potwierdził Mistrz – ale pytający są inni.

Tu Krasnalek Pacnalek przerwał czytać i głęboko się zadumał. To zadumanie nie przeszkadzało mu oczywiście spoglądać dyskretnie to na Zuzię, której tylko czubek głowy wystawał znad kołdry, to na Marcinka, któremu spod kołdry nie wystawał nawet najmniejszy fragment głowy za to niemal całe obie nogi i jedna ręka.

– Może jeszcze zobaczę chociaż drugą połowę – ucieszył się Krasnalek i starając się tak cicho jak to tylko możliwe podnieść się z głębokiego fotela, zamknął książkę i zaczął zabierać się do wyjścia.

– Jeszcze jedną? – poprosiła zaspanym głosem Zuzia. – Proszę.

Pacnalek zawisł przez sekundę nad siedziskiem i łudząc się jeszcze naiwnie, że mu się coś przesłyszało czekał na bieg wypadków.

– Dwie – powiedział chyba przez sen Marcin i obrócił się na bok pod kołdrą.

Pacnalek zrezygnowany opadł całym ciężarem na fotel i mając przed oczami zimne piwo z lodówki oraz drugą połowę pucharowego starcia pomiędzy Wandal City, a Bęcwał United zdecydował się na kontynuowanie czytania i jeszcze monotonna głosem niż wcześniej odczytał tytuł:

DOBRA BAJECZKA NA POPRAWĘ SAMOPOCZUCIA

Dawno, dawno temu, za siedmioma górami, za siedmioma lasami prowadziłem psychoterapię pewnej bardzo smutnej kobiety. Prawie nigdy się nie uśmiechała, prawie zawsze narzekała na wszystko i wszystkich. Któregoś dnia powiedziała mi, że postanowiła spróbować medytacji vipassana i zapytała czy mam dla niej jakąś radę.

– To bardzo rzetelny kurs – odpowiedziałem zgodnie z moim osobistym doświadczeniem. – Jeśli mam Pani cokolwiek zasugerować to jedynie to, żeby Pani podążała za kolejnymi instrukcjami i zgodnie zresztą z ich trzykrotnym, trzykrotnie pisemnie potwierdzanym zaleceniem, dotrwała Pani do końca. Cokolwiek by się nie działo, proszę siedzieć, oddychać i dotrwać do końca.

Pani podziękowała mi i pojechała na kurs.

W jakiś czas później pojawiła się na kolejnej sesji całkowicie odmieniona. Uśmiechała się szeroko, oczy błyszczały jej radośnie, siedziała wyprostowana i z uniesioną głową.

– Jak było zapytałem?

– Fantastycznie – odparła nie przestając się uśmiechać. – Dokładnie tak jak pan powiedział: trzy razy musiałam podpisywać, że dotrwam do końca, że nie wolno tego przerywać, że to jak operacja na otwartym mózgu i że kryzysy są naturalnym etapem rozwoju... i pamiętałam o tym co mi pan mówił, że to ważne, żeby dokończyć to co się zaczęło i wie pan co?

– No nie wiem.

– Trzeciego dnia miałam taki kryzys, że spakowałam się i wyjechałam! Taka jestem z siebie dumna, że zrobiłam wreszcie coś w moim życiu po swojemu!

Starutki, ponad ośmsetsześćdziesięcioletni krasnal ukradkiem zerknął na zegarek. Nie było najgorzej, na pewno zobaczy jeszcze sporo meczu. Dzieciaki leżały nieruchomo.

– Śpio – ucieszył się Pacnalek i schował okulary do górnej kieszonki. – Cudownie być dziadkiem – pomyślał, przymknął na chwilę oczy i nie ruszając się z fotela, smacznie zasnął.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI